

Gardner Dozois & Jack Dann

Gra

Lasy okalające północną stronę Maningtown należały do cmentarza i kiedy spoglądało się na zachód w stronę Endicott, można było zobaczyć marmurowe mauzolea i wspaniałe pomniki na wzgórzach. Cmentarz obejmował kilka akrów pokrytych równo strzyżoną trawą wzgórz i graniczył z Jefferson Avenue, której drewniane, dobrze utrzymane domy znajdowały się na wprost rokokowych nagrobków włoskiej części.

Na zachód od cmentarza była kiedyś dzielnica budynków z brunatnego kamienia i małych sklepików, - ale od jakiegoś czasu ich miejsce zajmowało olbrzymie centrum handlowe. Na wschód od cmentarza brzydki murowany gmach szkolny i ogrodzone boisko zastąpiły rząd okazałych willi z mansardowymi oknami, które Jimmy tak dobrze pamiętał. Sam cmentarz jednak nigdy się nie zmienił, był tam zawsze odkąd Biegał pamięcią, dokładnie taki sam i to sprawiało, że Jimmy Daniels lubił to miejsce, schronienie, wyspę błogiej stabilizacji na tym gwałtownie zmieniającym się świecie, gdzie zmiany często były niemiłe, a czasem niebezpieczne.

Jimmy Daniels mieszkał przeważnie w Old Town w pobliżu cmentarza, chociaż czasami mieszkał w Passdale albo Southside lub nawet w Durham. Old Town było spokojną willową dzielnicą z wąskimi domami o pobielanych frontach i stromymi, brukowanymi ulicami, obsadzonymi dębami i klonami. Wszystko zmieniało się tu powoli, w przeciwieństwie do nowszych osiedli, gdzie nowe garaże i biurowce wyrastały z ziemi jak grzyby po deszczu. W Old Town rzadko pojawiał się nowy budynek lub znikał stary. I dlatego właśnie Jimmy wolał tę dzielnicę od Passdale czy Southside i zawsze się cieszył, że znowu tu mieszka. To prawda, że przeważnie nie miał tu przyjaciół, ani szkolnych kumpli, gdyż w sąsiedztwie mieszkali zazwyczaj Polacy pierwszej lub drugiej generacji, pracujący w fabrykach obuwia Manningtown, która ostatnio zaczęła podupadać. Niekiedy bawił się z kulawym małym Włochem, który podobnie jak on sam, nie należał do tego środowiska. Jednak Włocha nie było od kilku dni i Jimmy znów został sam. Tak naprawdę to ta samotność wcale mu nie przeszkadzała. Był samotnikiem z natury.

Cała rodzina Danielsów była taka. Zwykle niewiele mieli wspólnego z zamkniętym, skupionym wokół kościoła życiem Old Town, chociaż czasem, jego matka należała do komitetu rodzicielskiego, albo Koła Gospodyń, a raz Jimmy dowiedział się ze zdziwieniem, że jego ojciec wstąpił do Klubu Społeczników. Ojciec pracował zazwyczaj w Zakładach Komputerowych Weston w Endicott, chociaż Jimmy pamiętał czasy, złe czasy, kiedy ojciec

był sprzedawcą butów w Vestal. Zawsze interesował się historią, co było następnym stałym elementem życia Jimmy'ego. Ojciec czasem robił coś dla Ligi Integracji Katolickiej. Nigdy nie miał dość czasu dla Jimmy'ego, gdziekolwiek mieszkali i gdziekolwiek pracował - to kolejna rzecz, która się nie zmieniała. Matka Jimmy'ego przeważnie uczyła w szkole podstawowej, chociaż czasami pisała na maszynie w domu, a kiedy indziej - znów w złych czasach siedziała w domu, zażywała „lekarstwo” i wcale nie pracowała.

Tego ranka Jimmy obudził się i pierwszą rzeczą, z której zdał sobie sprawę było to, że jest lato. Świadczyło o tym jasno świecące słońce i zapach kwiatów i trawy dochodzący przez otwarte okno, jakby w nagrodę za wspomnienia dnia wczorajszego, który był szary, zimny i ponury. Wypłatał się z pościeli i zaskoczony faktem, że znajduje się na wyższym poziomie piętrowego łóżka klapnął ciężko na dół, mocno uderzając piętami w podłogę. W domach, w których ostatnio mieszkali nie mieli piętrowych łóżek i nie był przyzwyczajony do budzenia się tak wysoko. Czasem miał rano problemy ze znalezieniem ubrania ale tym razem okazało się, że poprzedniego wieczoru był na tyle roztropny, że powiesił wszystko porządnie na miejscu i teraz znalazł niebieską koszulkę z zielonym zygzakiem, której od dawna nie widział. To był dobry znak i wprawił go w dobry humor. Włożył koszulkę i rozplątał supły na sznurowadłach - nie pamiętał skąd się tam wzięły. Wciąż otrząsając się ze snu nadaremnie próbował znaleźć szczoteczkę do zębów. Rano zawsze mijało trochę czasu zanim oprzytomniał. Czuł się dezorientowany i zagubiony, ale zawsze w końcu wspomnienia stopniowo wracały, a on układał sobie wszystko w myśli, starając się ustalić, w którym teraz domu mieszka i gdzie ma zwyczaj trzymać swoje rzeczy.

No tak. Ale komu przyszyłoby do głowy, że trzyma swoje skarby w puszcze po kawie pod biurkiem.

Na dole matka robiła grzanki i Jimmy zatrzymał się w drzwiach, przyglądając się jak krząta się po kuchni. Była niską, pulchną, ciemnooką kobietą. Tłuste czarne włosy upinała w ciasny kok. Obserwował wnikliwie jej szybkie, nerwowe ruchy. Zauważył, że niecierpliwie odgarnia niesforne kosmyki z czoła. Miała ostre rysy, wydawało się, że można się skaleczyć o jej długi, prosty i spiczasty nos. Wyglądała dzisiaj jak zbudowana z samych kantów i ostrych krawędzi. Ojciec Jimmy'ego siedział z posepną miną nad trzecią filiżanką kawy, ale kiedy Jimmy stanął w progu, wstał i zaczął zbierać się do wyjścia. Był szczupłym mężczyzną o jasnej skórze i kędzierzawej rudej czuprynie. Rozczarowany Jimmy zagryzł wargi i czekał za drzwiami w nadziei, że nie zostanie dostrzeżony. Ze znaków na teczce ojca wywnioskował, że ojciec pracuje dzisiaj w Endicott, a czasy kiedy właśnie tam miał robotę należały do tych, kiedy oboje rodzice rano byli najbardziej wściekli.

Gdy ojciec bez słowa wyniósł się z kuchni, Jimmy po cichu zajął swoje miejsce przy stole. Matka podała mu grzanki, mruknąwszy jedynie na znak że go widzi. Zanosilo się na to, że będzie to kiepski dzień - nie tak zły jak wtedy, kiedy ojciec gracował w Manningtown, a matka zażywała swoje „lekarstwo”, nie tak zły jak w innych czasach, o których wolał nie myśleć, ale wystarczająco niemiły, dosłownie na granicy wytrzymałości. Nie powinien był wczoraj poddać się zmęczeniu i wchodzić do środka, winien był dalej bawić się w Grę... Na szczęście, nie miał dzisiaj zamiaru spędzać w domu zbyt wiele czasu.

Udało mu się przetrwać śniadanie bez większych kłopotów, z wyjątkiem tego, że matka zaczęła jak zwykle swoje „dlaczego nie zadzwoniłeś do Tommy’ego Melkoniana, dlaczego nie pójdziesz popływać albo pojeździć na rowerze, tracisz wakacje na rozmyślania nie wiadomo o czym, to nie jest normalne, bez przerwy jesteś sam potrzebujesz przyjaciół martwi mnie to i czuje się winna kiedy tak snujesz się sam całymi dniami... i tak dalej. Mamrotał coś w odpowiedzi, ale nie miał zamiaru dzwonić do Tommy’ego Melkomana, ani pozwolić, żeby ona to za niego zrobiła. Bawił się z Tommym tylko raz czy dwa, ostatnio kiedy mieszkali na Clinton Street (przedtem Tomm’ego nie było tutaj), ale nie lubił go aż tak bardzo, żeby tracić dla niego dzień. Jimmy czasem ulegał pokusie i tracił kilka dni na granie w kręgle albo w piłkę z innym i dziećmi albo na pływaniu, zdarzało mu się zmarnować w ten sposób cały tydzień nie grając ani razu w Grę. Ale w końcu wracał posłusznie do Gry, nawet jeśli czasem był już tym wszystkim zmęczony. A musiał w nią grać sam.

Tak, dzisiaj stanowczo musi zagrać w Grę, nie ma tu po co siedzieć, a poza tym Gra wydaje się z niewiadomego powodu łatwiejsza w ciepłe, pogodne dni.

Wymknął się więc najwcześniej jak tylko mógł. Na początku pomylił to miejsce z domem, w którym czasem mieszkali na Ash Street, który miał podobny rozkład, ale inne tajne wyjście na zewnątrz. Potem jednak przypomniał sobie właściwą drogę. Kiedy matka zajęta się czymś, wymknął się do piwnicy i podstawivszy krzesło wygramolił się przez okno na trawnik. Przeszedł przez podwórko sąsiadów na Charles Street i skręcił w Floral Avenue, stromą, brukowaną, wiodącą donikąd uliczkę. Dalej zaczynały się lasy należące do cmentarza. Czasami szarych wzgórz pod lasem strzegł okropny czarno-brązowy kundel, który gonił go, szczekając i szczerząc zęby. Jimmy przyspieszył kroku, obawiając się spotkania z nim.

Ale kiedy już dotarł do lasu, wiedział że w cieniu brunatnych dni i liści jest bezpieczny, że nic mu nie grozi. Zwolnił. Zobaczył pierwszy nagrobek, na wpół pokryty ziemią, splamiony zielonym mchem i pogłaskał go pieszczotliwie jak psa. Był na cmentarzu, tu; gdzie wszystko zaczęło się tak dawno temu. Gdzie po raz pierwszy grał w Grę.

Poruszając się z łatwością, wspinał się w stronę porośniętego trawą pagórka, który wystawał jak korona spośród otaczających go drzew najwyższego miejsca na cmentarzu. Mimo wszystkich dziwnych przeżyć to miejsce nie straciło nic ze swego magicznego uroku, kiedy był tutaj nigdy nie bał się duchów czy upiórów, nawet w nocy, chociaż często przechodząc wtedy, tak jak teraz, spoglądał na szare niebo między konarami drzew, splecionymi jak palce czarownic i wyobrażał sobie, że dookoła przemykają się lasem potwory i szpiedzy, i dinozaury że w skarłowaciałych krzewach azalii kryją się piraci albo orki... Ale to była tylko taka zabawa, ćwiczenia wprowadzające go w nastrój odpowiedni do zaczęcia Gry i kiedy tylko znalazł się na trawiastym wzgórzu, z którego widać było całą okolicę, odrzucał je jak zbędną maskę. Jimmy stał zachwycony, czując jak ciepłe promienie słońca głaszczą go po głowie oddychał cicho, wsłuchany w świergot ptaków i przeciągłe westchnienie wiatru w liściach dębów. Niebo było błękitne i bezchmurne, a rzeka Susquehanna lśniła w dole jak lustrzany wąż i połyskiwała srebrzyście, wijąc się wśród wzgórz.

Powoli zabrał się do Gry. Jak to było, kiedy po raz pierwszy ją zaczął przypadkiem, nie zdając sobie sprawy co robi, nie rozumiejąc co to za gra? Jak to było? Czy wszystko wyglądało tak jak teraz? Doszedł do wniosku, że słońce było niżej tego dnia, niebo nie było tak przejrzyste, a na wschodzie kłębiły się chmury. Przebiegał myślami krajobrazy jakby przeglądał talie kart, aż trafił na właściwy. Niebo pociemniało posłusznie, ale kształt i układ chmur nie był taki jak trzeba, więc szukał dalej dopóty dopóki nie znalazł odpowiedniejszego. Było jakby trochę chłodniej i wiał lekki wietrzyk...

Na razie to było proste, ale musiał jeszcze dokonać subtelniejszych zmian. Czy w Southside były cztery kominy czy pięć? Cztery, zdecydował i usunął jeden. Czy wieża radiowa znajdowała się na szczycie tego wzgórza czy tamtego? Czy most na Susquehannie był na rogu Cedar Road? A może przy znaku ESSO? Przez ten czas jego niebieska koszulka zmieniła się w brązową, ale po zastanowieniu zmienił ją jeszcze raz na czerwoną w drobne prążki. Czy stał tam kiosk z lodami? Doszedł do wniosku, że nie. Miał teraz znowu ciemną skórę, ale włosy ciągle były zbyt proste... Czy cmentarz otoczony był żelaznym ogrodzeniem, czy żywopłotem? Czy słychać było syreny fabryczne? W powietrzu zapach siarki? A może sosny...?

Pracował nad tym aż do zmierzchu, a potem, wycieńczony, zszedł z powrotem ze wzgórza.

Centrum handlowe było tam ciągle, ale szkoła i boisko zniknęły, ustępując znajomym starym willom z mansardowymi oknami. To zwykle znaczyło, że był bliski celu. Tego

wieczoru dom znajdował się na Schubert Street, kilka domów dalej od miejsca, w którym był dziś rano. Miał dwa, a nie trzy pietra, co zgadzało się ze wspomnieniami tego, jak było zanim zaczął grać. Przed domem stało Volvo - nie to, które pamiętał, ale lepsze niż Buick z dzisiejszego ranka. Do przedniej szyby przyklejony był znak parkingu Endicott, a na siedzeniach leżały książki o komputerach Weston. Wszystko to oznaczało, że może spokojnie wejść do domu, dziś wieczorem ojciec nie będzie kompletnie pijany.

W saloniku ojciec podniósł wzrok znad „Najważniejszych Bitew Zachodu” Fullera, które czytał siedząc wygodnie w fotelu, mrugnął do niego porozumiewawczo.

- Cześć - powiedział.

- Cześć tato - odpowiedział mu Jimmy.

Przynajmniej tym razem ojciec był czarny, tak jak powinien, chociaż dużo tęższy niż Jimmy pamiętał i ciągle miał kędzierzawe rude włosy tak jak rano, zamiast kędzierzawych czarnych włosów, jakie powinien mieć. Matka Jimmy’ego wyszła z kuchni. Była teraz wystarczająco szczupła, ale stanowczo za wysoka, miała małe zadarty nosek, oczy niebieskie zamiast piwnych i jaśniejsze włosy.

- Umyj się przed obiadem, Jimmy - powiedziała matka i Jimmy powoli poszedł w stronę schodów, czując jak ogarnia go kolejna fala zmęczenia. Ona nie była jego prawdziwą matką, nie byli jego prawdziwymi rodzicami. Już wiele razy Jimmy był bliższy właściwego rozwiązania... Ale zawsze jakiś mały szczegół nie pasował, świadczył o tym, że ten właśnie prawdopodobny świat spośród miliona prawdopodobnych światów nie był tym, od którego Jimmy zaczął, nie był domem.

Ale zdarzało mu się też dojść do gorszych rezultatów. Przynajmniej nie był to teraz świat, w którym jego ojciec umarł albo wybuchła wojna atomowa, albo mama miała raka czy była narkomanką, albo ojciec był ordynarnym pijakiem, albo hitlerowcem, albo porywaczem... Na dzisiaj wystarczy ten świat... Jest tak zmęczony...

Rano znowu zacznie poszukiwania.

Któregoś dnia odnajdzie ich.

przekład: Anna Miklińska